HANS OSTWALD.

Dwaj ułomni.

Wolno wlókł się po ulicy, utykając na nogę. Wzdłuż muru, gdzie sami biedacy mieszkali; gdzie dachów można było ręką dosięgnąć. Okna znajdowały się tak nisko, że mimo wieczornego półmroku widać było, czy jest kto w mieszkaniu, czy nie.

Wszędzie prawie kobiety, siedząc u okna, zwijały nici.

— Biedna hałastra — mruknął do siebie, przyglądając się własnym swoim łachmanom, odbijającym się w szybach okiennych.

Tu dostałby garnuszek nieświeżej kawy z kawałkiem chleba co najwyżej. Ale żołądek jego miał już dość tej strawy!

Trzeba się o coś lepszego wystarać. Tylko o co? Co można zwędzić w tem gnieździe fabrycznem? Wille fabrykantów po drugiej stronie ulicy były ogrodzone i przez dobre psy strzeżone. A ci nędzarze — sami zaledwie są syci. Wystarczy na domy spojrzeć! Bez gruntowania, raz tylko otynkowane — przed laty. Tynk już się kruszy.

Przy zakręcie muru zatrzymał się. Przed domem na jasny kolor olejną farbą pomalowanym. Drzwi błyszczały mosiężnemi okuciami. Nad jednem z okien wisiał szyld:

„Franciszek Knoblich, krawiec".

Może ma jakieś stare ubranie. Albo — może się uda nowe ściągnąć.

Długoręki — tak go w gronie zaufanych przezywano — znał się na rzeczy. Umiał naprzykład klamkę od drzwi tak nacisnąć, że nikt nie mógł jego wejścia i wyjścia usłyszeć.

Szybkim rzutem oka przekonał się, iż nie był widziany: dzieci bowiem bawiły się na końcu ulicy, w przedpokoju zaś krawca nikogo narazie nie było, a tam właśnie leżały zawsze nowe, świeżo wykończone roboty.

Wsunął się do sieni, na palcach podszedł do drzwi i namacał klamkę.

Co będzie, jeżeli drzwi są na klucz zamknięte? Eh! Bywają zwykle otwarte w małych mieścinach. Tak jest! Może się zakraść. Pst.... zawiasy skrzypnęły. Nasłuchuje. Cisza w domu. Żadnego głosu, brzęku, dźwięku.... aż straszno!

Długoręki wślizgnął się do przedpokoju i posunął ku białym drzwiom, wiodącym do sąsiedniej izby. Nikogo tam nie słychać. aż się włóczęga dziwi!

Pewną ręką naciska klamkę i drzwi otwiera. Jeżeli ktoś jest w izbie — poprosi o jałmużnę. Lecz pokój był pusty. Nikt nie siedział ani na sofie, ani przy piecu, ani na stole krawieckim przy oknie.

Mały, garbaty złodziej odważnym i zdecydowanym krokiem podszedł do wieszadeł przy ścianie i począł ściągać z nich garnitury.

— Morowe sukno — mruknął pod nosem zadowolony.

Z całą swobodą zdjął swój kaftan i przyodział się w jedną z marynarek. Za szeroka była i za długa dla niego. Wyglądał w niej, jak straszydło na wróble.

Już chciał odejść. Ale nie mógł wzroku od innych ubrań oderwać. Ma je zostawić?

Ślina mu do ust napłynęła, jak smakoszowi na widok apetycznych potraw.

Nagle jął wciągać na siebie garnitur za garniturem. Drugi — trzeci — czwarty — piąty.

Ten był najciaśniejszy. Przemocą się weń wciskał. Ale napróżno starał się cztery grube rękawy, które już miał na ręku, w wąskie rury piątego tużurka wsunąć. Szamotał się z niemi, stękał, wzdychał nadaremnie. Nie wchodzą i kwita!

Na Boga! Taki ładny tużurek! Nie może go przecież zostawić! Wtem ktoś parsknął głośnym śmiechem w przedpokoju.

Złodziej wystraszony znieruchomiał w nawpół wciągniętym tużurku; patrząc przez otwarte drzwi na siedzącego na krześle i niemogącego powstrzymać się od śmiechu mężczyznę.

Kołysał się górną połową ciała naprzód i w tył, zanosząc się od śmiechu.

Gdyby się gniewał, wymyślał, Długoręki rzuciłby się nań i utorował sobie drogę do wyjścia.

Ale ten szalony śmiech zbił go z tropu.

Strasznie zmieszany zapytał nieśmiało:

— Ja... ja mogę przecież ubrania przymierzać?

— Ależ tak, tak! Przymierzaj pan. Żadne nic jest dla pana dobre. Nic to jednak nie szkodzi. Wkładaj pan je na siebie. — Dlaczego nie mam biednemu złodziejaszkowi zrobić przyjemności?

I znowu śmieje się do rozpuku.

Mały łotr strwożony ściąga ze siebie ciasny tużurek.

Co u djabła? Krawiec cieszy się z tego, że go okradają? Czy aby mu nie brak jakiej klepki w głowie?

Strach go przejmuje.

Krawiec tymczasem wstał z krzesła i zbliża się do garbusa. Bez szelestu sunie w swych starych trepciach, powłócząc tak. jak Długoręki, lewą nogą.

Był to mały, dobrze upasiony człowieczek z rudemi szczecinowatemi włosami.

Stanąwszy przed złodziejem, trącił go sztywnym palcem w piersi, pytając poważnie i tajemniczo:

— Wiesz-że ty, kogo masz przed sobą?

Złodziej skinął głową, milcząc.

Pan Knoblich znowu się roześmiał i powtórzył pytanie:

— Jeszcze nie wiesz?

Mały ulicznik spojrzał krawcowi w twarz z głupkowatym uśmiechem na ustach.

Czyżby zwarjował człeczyna? — myślał w duchu.

Pan Knoblich tymczasem, bijąc się pięścią w piersi, mówił z promienną twarzą:

— Główną wygraną wygrałem!... Tak jest! Główną wygraną!... Zrozumiałeś? Co? Zatrzymaj-że sobie teraz garnitury. Niech mi ten kram z oczu zniknie! Teraz cała krawieczyzna w kąt pójdzie... Teraz życia użyję!

Długoręki nie wiedział, czy ma powiedzieć „Bóg zapłać!.. i uciekać co prędzej.

— Dlaczego nie masz trochę mojego szczęścia uszczknąć?... Niech inni ludzie też coś zyskają. Stój! — zawołał do zamierzającego umknąć złodzieja. — Masz tu na rozgrzewkę.

Wydobył z mahoniowej szafy butelkę z wódką i dwie małe szklaneczki.

— Na zdrowie! — rzekł.

Trącając się kieliszkiem złodziej zauważył, że pan Knoblich musiał już przedtem do butelki z wódką zaglądać.

Krawiec tymczasem rozgadał się na dobre. Opowiadał, że od dwudziestu lat pracował ciężko, ażeby na starość grosza trochę uciułać. Ale napróżno. Aż dał się na kupno losu namówić. Wszyscy dotychczas za nic go mieli, szydząc z jego oszczędności i starokawalerstwa. Teraz zaś zazdroszczą mu i płaszczą się przed nim.

Podczas opowiadania — butelkę wypróżniono. Obaj ułomni rozmawiali, jak dawni, starzy znajomi. Śmiejąc się i płacząc, dziwowali się, że życie jest takie ciężkie.

Wziąwszy się pod rękę, wyszli razem na ulicę. Okradziony i złodziej.

Pan Knoblich zaprosił Długorękiego na szklaneczkę piwa. Taki dzień trzeba przecież oblać.

Po kilku godzinach złodziej zupełnie pijanego krawca troskliwie zaprowadził do domu, położył go do łóżka, pozamykał wszystkie drzwi i jak brat czuwał nad nim robiąc mu okłady z zimnej wody na głowę.

Kiedy nazajutrz odejść zamierzał, krawiec go nie puścił.

— Jesteś... jesteś pierwszym poczciwym człowiekiem, którego spotkałem w życiu. Jak brat rodzony postąpiłeś ze mną. Jeżeli chcesz — w moim domu dość miejsca dla nas dwóch.

Od tej pory w małym schludnym domku mieszkają razem dwaj ułomni.

Tłum. Jotsaw.

Redaktor Klemens Orchulski.

Odbito w drukarni „Kurjera Łódzkiego".

Łódź w ilustracji

DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO".

Rok IV. **Łódź, dnia 11 grudnia 1927 roku.** **Nr. 50.**

Sztuka polska w Łodzi.

W dniu 6 b. m. w salonach Miejskiej Galerji Sztuki w Łodzi odbyło się uroczyste otwarcie nowej wystawy, na którą złożyły się między innemi również i prace zbiorowe artysty-malarza W. Skoczylasa.

Na zdjęciu powyższem widzimy jeden z obrazów W. Skoczylasa p. n. „Żebracy"

TEATRALJA.

Nieudane „Dziady". — Obchód... którego nie było. — „Turandot" w Krakowie. — Jeszcze jeden teatr. — Z nowości paryskich.

Po sensacji teatralnej, jaką było wystawienie bomby Nowaczyńskiego w Teatrze Polskim, Warszawa ma obecnie teatralny—skandal, a jest nim, niestety, wystawienie „Dziadów" w.. Teatrze Narodowym. Dziwnie, doprawdy, brzmi to słowo: skandal, w odniesieniu do arcydzieła poezji romantycznej, realizowanego na pierwszej scenie polskiej. A jednak inne określenia tu zawodzą, a jednak rekord reżyserskiej samowoli i inscenizacyjnego pastwienia się nad klejnotem Mickiewiczowskiej twórczości odbił się głośnem echem nawet na posiedzeniu Rady Miejskiej st. m. Warszawy. Zawiniła dyrekcja, zawinił reżyser i dekorator; zamiast korzystać z natchnionych opracowań Wyspiańskiego, mających już swoją tradycję, wielką i znakomitą na scenach polskich, wystawiono „Dziady" á la maniére de Zelwerowicz, który piękno olbrzymich, poetyckich wzlotów i niebotyczność proroczych wizyj zagasił — blaskiem (właśnie: „zagasił blaskiem") jakichś nadzwyczajnych, a nikomu na nic w „Dziadach" niepotrzebnych reflektorów, zaćmił i zabił ostatecznie jaskrawością elektrycznych efektów i ordynarną w tym wypadku szopką licho wie skąd nawianej groteski.

Rezultaty — opłakane. Oto parę lapidarnych definicyj poważnej krytyki stołecznej, sądzącej surowo ale zasłużenie wybryki kierownictwa Teatru Narodowego: „Uczyniono niemal wszystko, aby odpoetycznić, odromantycznić „Dziady", — pisze Boy-Żeleński; „To wszystko, co dał Teatr Narodowy, było smutnem nieporozumieniem od początku do końca" — ubolewa Emil Breiter; „Zamiast za duszą utworu iść jej drogami prostemi — zachowując troskliwie wszystko to, co jest nieodzowne przy realizacji — zaczęto poszukiwania na karkołomnych manowcach eksperymentów teatralnych" — skarży się T. Kończyc.

Rzecz prosta, że w tej atmosferze sztuczności i poronionych pomysłów, niegodnych pierwszej sceny polskiej, aktorzy czuli się źle, daremnie poszukując właściwej linii i odpowiedniego tonu. To też obsada głównych nawet postaci zawiodła niemal na całym scenicznym froncie i przyczyniła się do pogrążenia warszawskiej realizacji — „Dziadów" w odmętach powszechnego zdumienia i oburzenia.

Do kroniki zjawisk niezmiernie ponuro świadczących o prawdziwem obliczu artystycznem i intelektualnem Warszawy, trzeba zaliczyć również ów obchód.... którego nie było, obchód 20-ej rocznicy zgonu Stanisława Wyspiańskiego. Wstyd powiedzieć, że teatry warszawskie, te z śródmieścia, błyszczące światłem, pozłotą i ogniem brylantów bogatej publiczności, przeszły z najzimniejszą krwią do porządku dziennego nad obchodem rocznicowym Wyspiańskiego. Trudno — musiał on ustąpić de Flersowi, Verneuil'owi, czy ostatecznie też krakowianinowi — Nowaczyńskiemu. Tylko skromny, mały Teatr Praski, „odrodzony" w tym roku naprawdę pod kierownictwem dyr. W. Brumera, nie zapomniał o wspaniałości spuścizny twórcy „Wesela" i — przeszedłszy sam siebie — wystawił pięknie, dobrze i po-prostu „Legendę" (II). Nie wspinając się po drabinie nadzwyczajności, nie goniąc za szychem złudnych efektów, Teatr Praski z ogromnym nakładem sił i środków, zmontował widowisko bardzo dobre i ciekawe, zarówno pod względem reżyserskim (T. Leszczyc) jak aktorskim. Ten wysiłek dzielnego teatrzyku, nie będący zresztą bynajmniej „okolicznościowym" tylko wyrazem dążeń zespołu, oceniła należycie cała kulturalna Warszawa, czego dowodem liczni goście „z miasta", zasiadający co wieczór na fotelach „dzielnicowego" w zasadzie Teatru Praskiego. Teatr ten wystawieniem „Legendy", nie wspominając już o poważnych zasługach poprzednich — złożył wymowne dowody, że chce i potrafi stać się teatrem nietylko nie gorszym od tylu innych, z warszawskiego brzegu, ale pod niejednym względem bodaj od nich lepszym, bo posiadającym zapał, świeżość inicjatywy i ambicje artystyczne, które nie każdego zdobią.

Jeśli chodzi o rocznicę Wyspiańskiego, Poznań wyprzedził i zawstydził w tym roku Warszawę, dając w Teatrze Polskim, po raz pierwszy „Noc Listopadową" w doskonałej reżyserji St. Wysockiej i oprawie dekoracyjnej p. Jarockiego. Przedstawienie spotkało się z bardzo życzliwem przyjęciem całej krytyki.

Dr. Tadeusz Konczyński, krytyk i autor dramatyczny, ujął w swe ręce b. Teatr im. Fredry w Warszawie, który wobec trudności finansowych, zmuszony był z początkiem b. sezonu zawiesić swą działalność. Nowy, pełen energji i nadziei, dyrektor, zamierza stworzyć z Teatru im. Fredry scenę popularną o wyższym poziomie, przeznaczoną dla szerokich sfer stolicy. Jedną z pierwszych sztuk repertuaru będą „Bolszewicy" — Sieroszewskiego.

Teatr Miejski w Krakowie wystawia z ogromnym sukcesem baśń dramatyczną Gozzi'ego — „Turandot". Sztukę w przekładzie i z intermedjami Zegadłowicza, realizował bardzo pomysłowo i starannie dyr. Nowakowski, nadając jej wybitny charakter barwnej commedii dell'arte. Widowisko „Turandota", niezmiernie ciekawe i oryginalne, nazwał jeden z krytyków „orgją historyczno - literacką", na którą nie każdy teatr mógłby sobie pozwolić.

Paryska „Comédie des Champs-Elysées" wystawiła ostatnio, wśród zainteresowania publiczności i prasy, najnowszą komedją Jana Sarmenta p. t. „Ukochany Leopold" („Leopold le Bien Aimé"). Jest to pomysłowo skonstruowana historja dwojga serc, które odnajdują się całkowicie dopiero po wielu latach goryczy i zawodów życiowych. W ciągu tych lat nic ze swej wierności nie straciło serce mężczyzny, a serce kobiety — nauczyło się kochać tego, który, ongiś odepchnięty, godny był zawsze i godny jest dziś miłości i szacunku. Jedną z główniejszych ról w „Leopoldzie" gra sam autor: mianowicie — rolę brata Leopolda — księdza, łączącego swą serdecznością i pogodą losy bohaterów. Jednym z najciekawszych momentów komedji jest zupełna przemiana psychiki zgorzkniałego Leopolda pod wpływem otrzymanej wiadomości o pisanym doń jakoby przed laty liście Marji Teresy. Okazuje się jednak, że wiadomość ta polegała na omyłce, że w rzeczywistości list taki nie istniał, sama jednak wiara w wyrażone w nieistniejącym liście uczucia Marji potrafiła uczynić z Leopolda innego człowieka. Szlachetniejszy i zręczniejszy motyw komedji Sarmenta wyróżnia ją korzystnie z pośród wielu innych nowości.

Delta.

———:::———

„Zwiastun". W. Skoczylas.

„Praczki". W. Skoczylas.

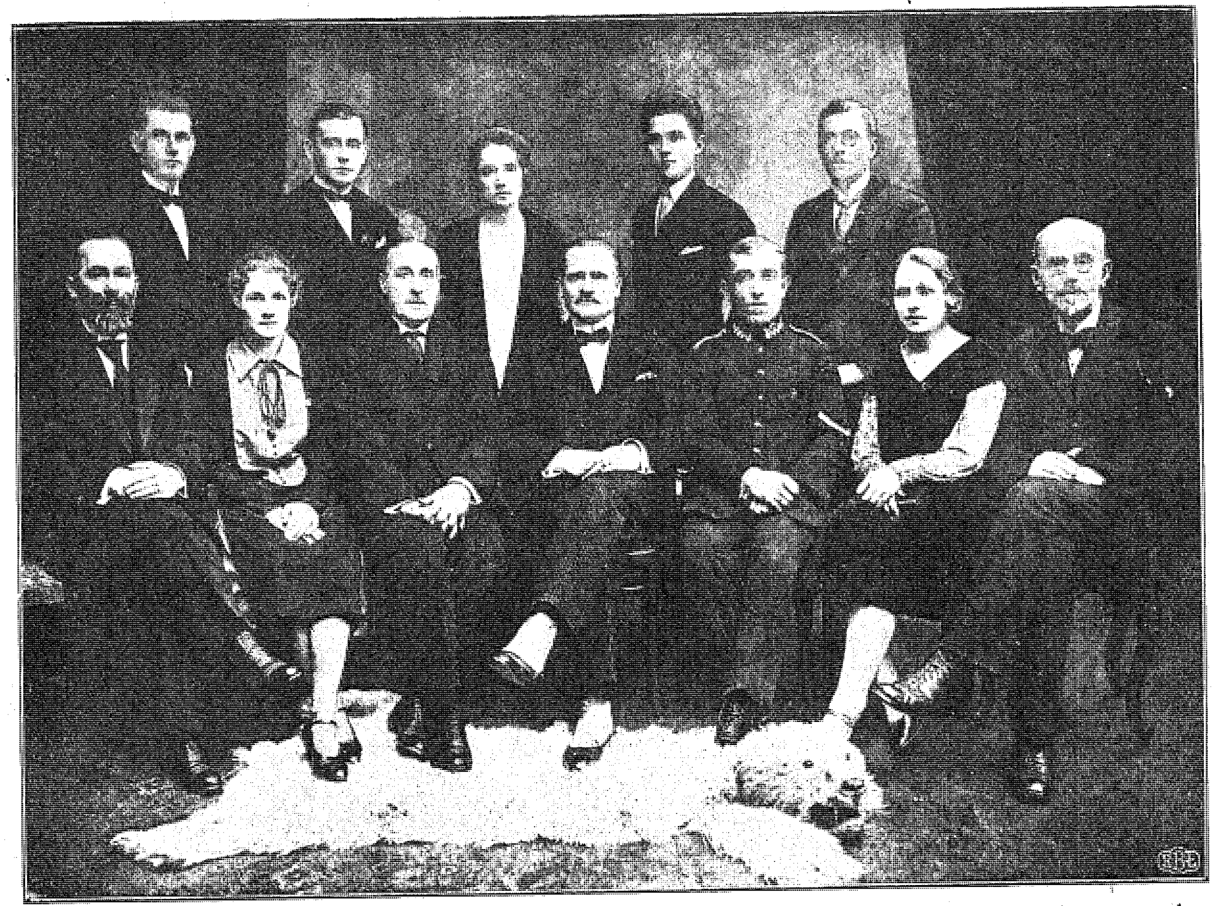

Zarząd Komitetu Budowy Domu dla Polskiej Macierzy Szkolnej w Łodzi, dzielnicy Rokicie, dzielnie prowadzący swą akcję z prezesem p. C. Borysławskim na czele. W rzędzie pierwszym od strony prawej siedzą pp.: Śliwowski, Świętaszkówna, Antoniewicz, prezes Borysławski, Grzelak, Stelmachowska i Pawłowski. W rzędzie drugim stoją pp.: Janczak, Malczyk, Messówna, Milczarek i Szymke.

Z okazji 300-ej rocznicy zwycięstwa floty polskiej pod Oliwą Liga Morska i Rzeczna w Łodzi zorganizowała uroczysty wieczór, udział w którym między innymi wzięli przedstawiciele władz państwowych z p. wojewodą Jaszczołtem i duchowieństwa z J. E. ks. dr. biskupem Tymienieckim na czele. Fot. **Aleksander Meyer.**

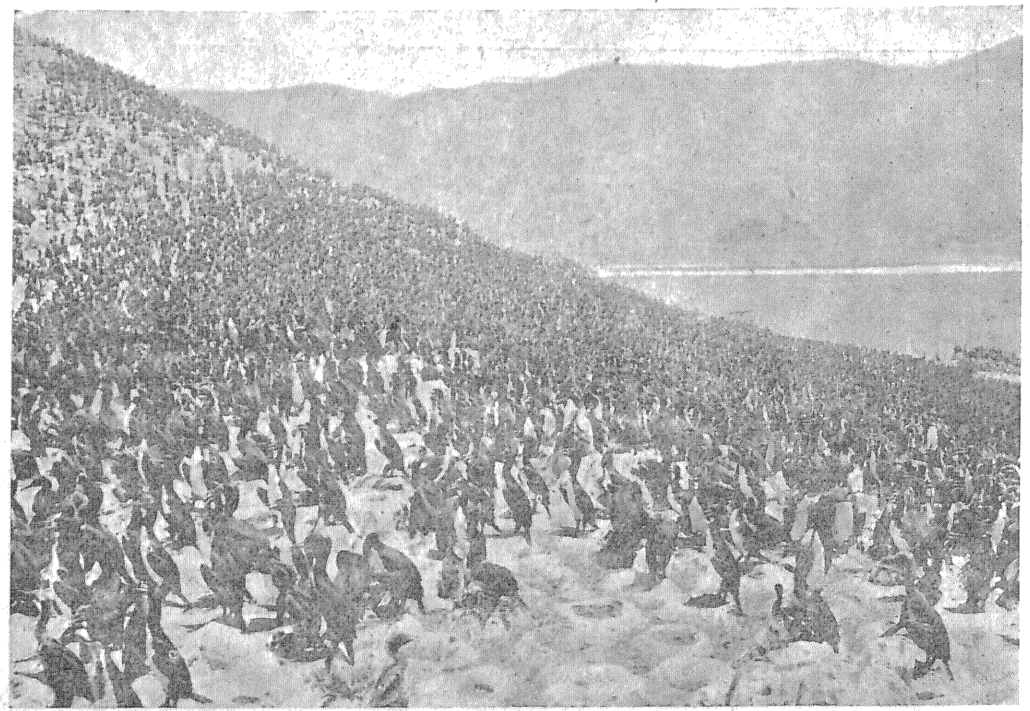

Na wybrzeżach Pacyfiku. Olbrzymie stada pingwinów, ptaków z rzędu płetwonogich czyli pływających, zwanych bezlotkami, mieszkańców Oceanu Spokojnego i nieodstępnych towarzyszów żeglarzy. Na zdjęciu powyższem widzimy silnie rozgałęzioną rodzinę pingwinów, zalegających wybrzeża morskie.

Dziecię gorących piasków Arabji i pożarów słońca. kapłanka Aliacha, młoda i urocza Beduinka, pełna życia, ognia i zapału, wyznawczyni krwawych wendet.

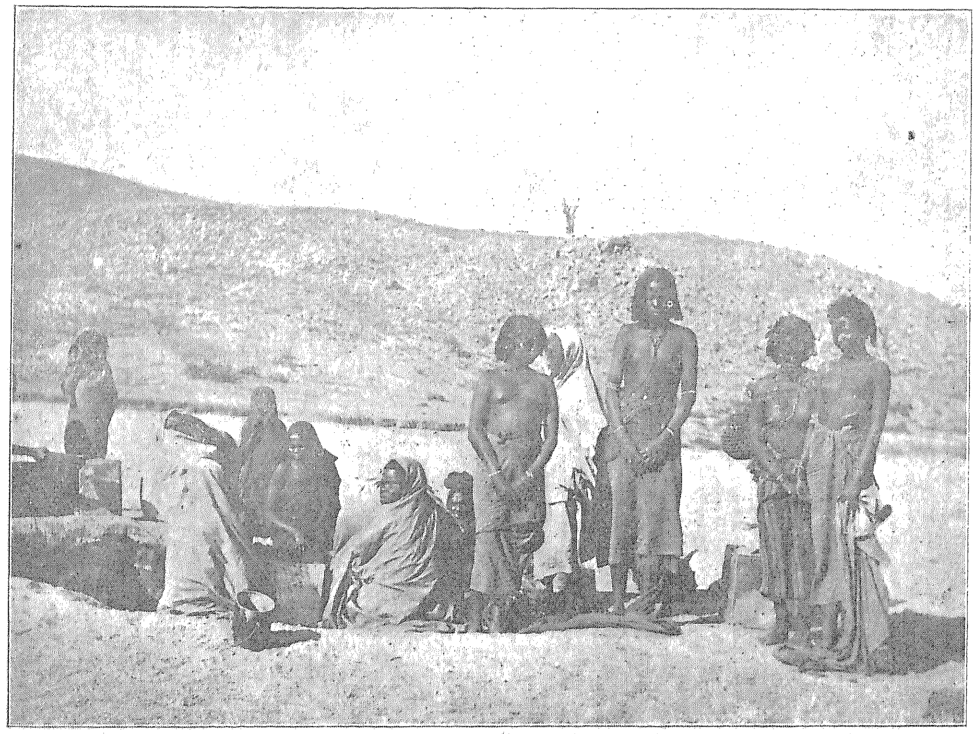

W Ja-lung-Kiang, kolebce dawnego państwa tybetańskiego, obecnej prowincji Sze-Czwan. Na zdjęciu rodzina, będąca protoplastą zwanego przez Chińczyków plemienia Ti-Kiang, żyjąca w wyjątkowem ubóstwie ze względu na specyficzne warunki położenia tego tajemniczego kraju.

Najnowszy „szlagier“ ekranów europejskich pod tyt. „Tingel-Tangel“ opuścił w tych dniach „warsztat“ wytwórni „Sascha-Film“.

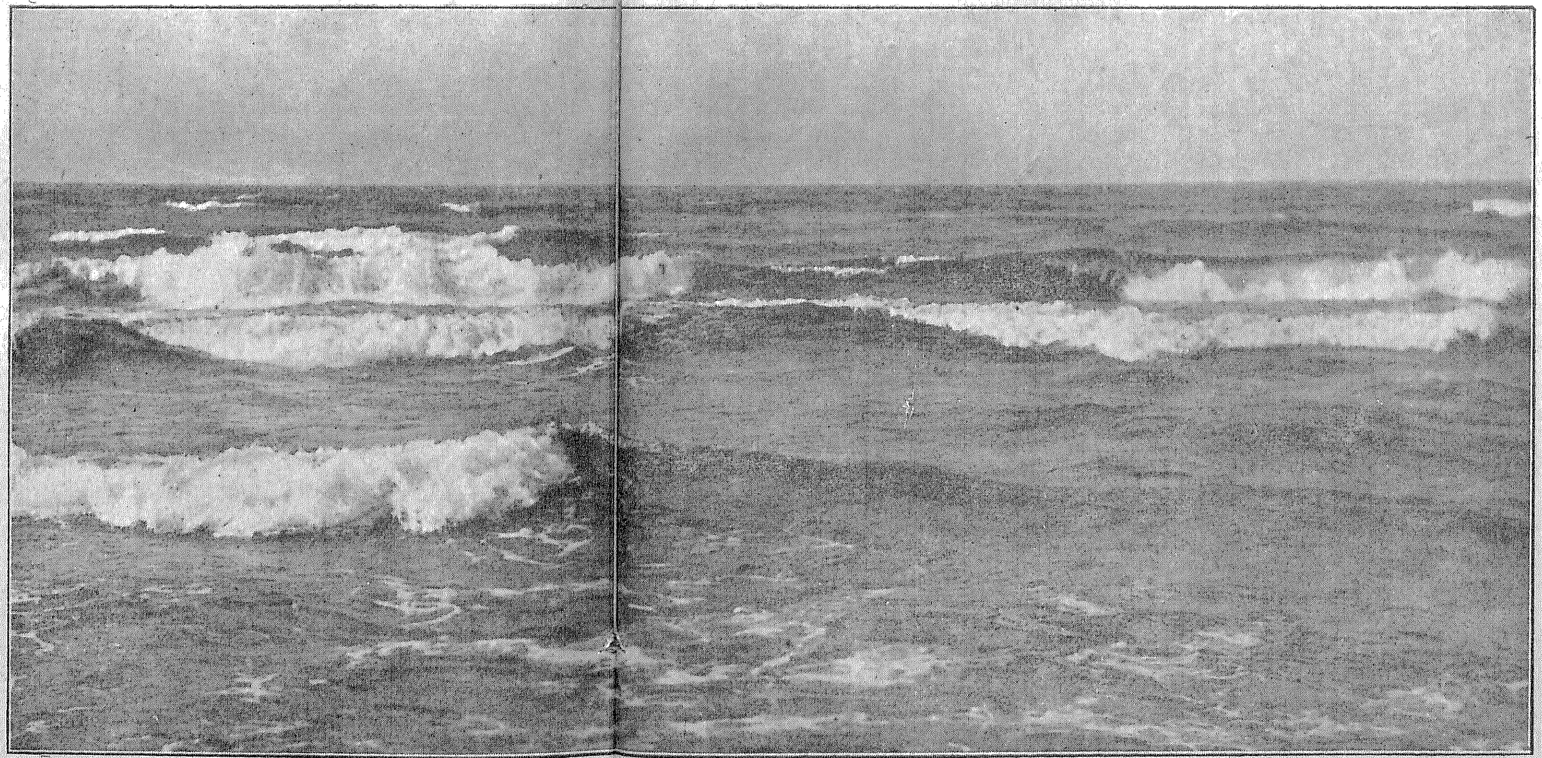

Nieporównanie piękne wydoki spotyka się na wybrzeżach morskich Bretonji. Na ilustracji naszej widzimy malowniczą dla tamtych okolic grę fal

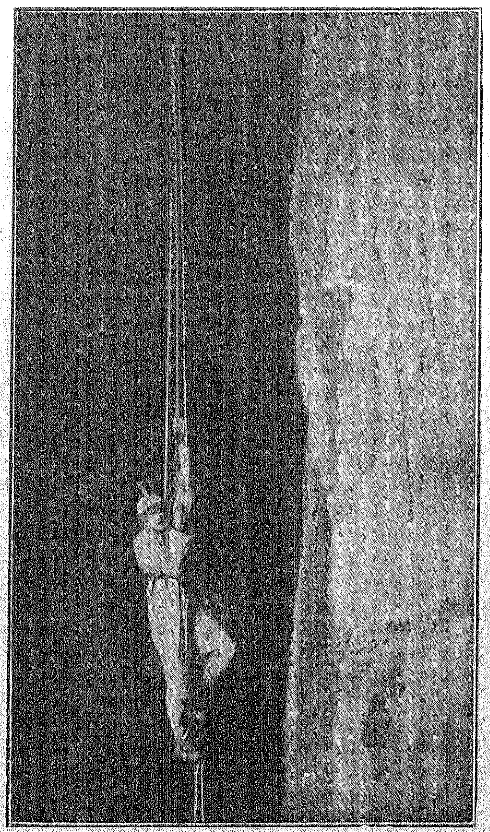

Brawurowe wspięcie się na jeden z niedostępnych szczytów Alp.

Ze sportu.

Mistrzowie świata w jeździe sztucznej na lodzie. Bockl (Wiedeń) i mistrzyni świata Szabo (Wiedeń).

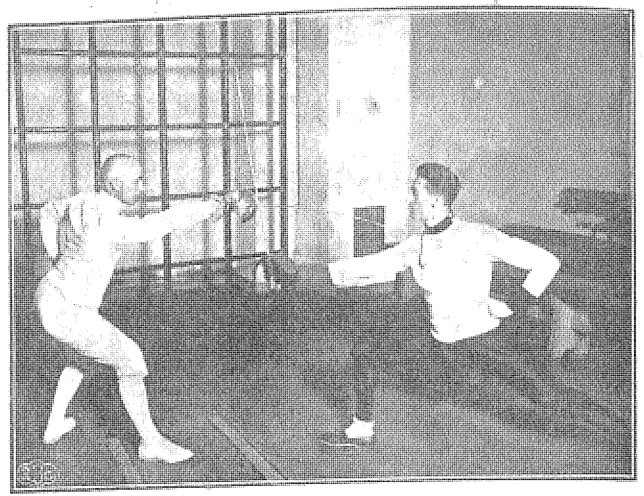

Sezon szermierczy w Łodzi. Spotkanie treningowe na rapiry.

Skoki narciarskie na krokwi w Zakopanem

Prezydent Rzplitej prof. Ig. Mościcki na posterunku myśliwskim.

Jasna (Cracovia), rekordzistka Polski w rzucie kulą.

Ciekawy moment z meczu hockeya na lodzie.

Lili Damita, najmilsza gwiazda ekranów europejskich, niezapomniana „Paryska zabawka“ i uroczy „Motylek“ w swoich najnowszych kreacjach artystycznych: „Najsłynniejsza z kobiet“, „Ubóstwiana“ i „Noc poślubna“.

Murzyn Charles S. Gilpin i jego żona na scenie.

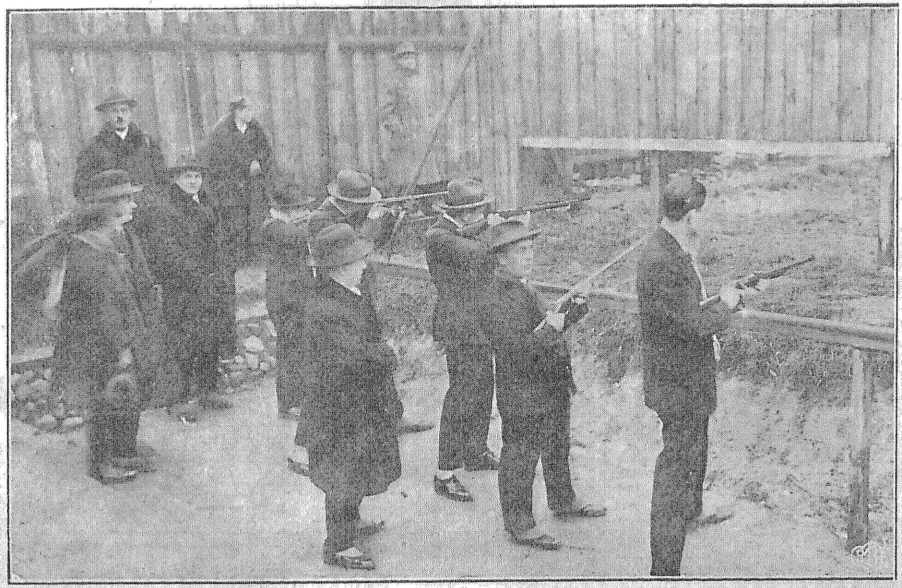

Pierwsze oficjalne zawody strzeleckie w Łodzi o mistrzostwo Ł. K. S. z broni małokalibrowej odbyły się ubiegłej niedzieli na strzelnicy Ł. K. S.

Douglas Fairbanks w wspaniałej epopei filmowej w 12 aktach p. t. „12 djamentów“, wyświetlanej w kino-teatrze „Splendid“ w Łodzi.

JAN SZALLA.

Przypowieść o talentach.

(Przekład z esperanckiego).

A gdy sędziwy król poczuł, że zbliża się kres jego dni, synów swoich do się przywołać kazał i takie im rzekł słowa:

— Dzieci wy moje, wyście dorośli już, a ja do snu się kładę, państwu mojemu zostawiając trzech aż władców. Trzech was mam synów, a jeden z was królem tylko być może.

Znam was, dzieci wy moje, znam was i jednakowo wszystkich kocham. Królestwo zaś oddać chciałbym w godne tego ręce, a wybierać mi trudno.

Sami więc bądźcie sobie sędziami, obowiązek próby na was kładę: każdemu z was dam talent jeden srebra i jedno gospodarstwo. Za rok zażądam od was relacji z tego, jakeście użyli tych dóbr i je pomnożyli, a podług tego ocenicie sami, kto najwięcej godzien będzie tronu mojego. Bo kto małem dobrze rządzić potrafi, temu z ufnością i wielkie powierzyć możemy...

* * *

Powróciwszy, król po roku ponownie zawołał synów swoich i cały dwór swój, aby usłyszeć sprawozdania z dzierżenia majątkiem.

I tako rzekł, przywołany do stóp tronu, syn najmłodszy, chłopiec o złotych włosach i miękkim głosie, co jak struna śpiewa:

— Ojcze mój, dalekim jest od tego, aby sięgnąć władzy nad poddanymi. Wszelako podjąłem się próby wedle słów twoich, nie chcąc być gorszym od braci swoich.

Poco mi tronu, kiedy wolę po ciemnych błądzić borach, tajemnic saren podsłuchując i ptaszków — kiedy wolę śpiewać i z młodego cieszyć się życia, niźli siedzieć w tym ponurym zamku, od którego grubych murów wieje chłód i szarość...

Talent zwracam ci, ojcze, w całości, a gospodarstwem rządziłem jak mogłem — jest również całe, niezadłużone...

Łaskawo skinął król głową, zdziwiony nieco słowami najmłodszego syna. A oto zagadnął drugiego — ten zaś rzekł:

— Ojcze mój, ja nie zrezygnowałem z tronu. I nie pozostawiłem powierzonych mi dóbr takiemi, jakie je otrzymałem!

A oczy zaświeciły się królewiczowi, gdy opowiadać zaczął o swoich myślach, swoich czynach.

— Wiedziałem, ojcze, że dwom panom służyć niepodobna. Gospodarstwo więc wydzierżawiłem, pewnego w niem usadawiając człowieka, a sam zająć się postanowiłem pieniądzem.

I Bóg pobłogosławił pracy mojej: oto gospodarstwo jest w takim stanie, w jakim je otrzymałem — a z talentu stały się dwa: obracałem nim umiejętnie i czynsz miałem z dzierżawy.

— Dobrze, — rzekł król i łaskawem okiem spoglądał na ciemnowłosego mężczyznę. — Lecz posłuchajmy najstarszego z was trzech!

Najstarszy syn długo ważył słowa, nim je wypowiedział. A głos jego spokojny był.

— Ojcze mój, otóż i ja zabrałem się do pracy, tego samego trzymając się zdania, które wygłosił brat mój: Dwom panom służyć niepodobna!

Lecz po co miałem pozostawić prawie bezużytecznie połowę majątku, który mi powierzyć raczyłeś?

Za talent srebra kupiłem więc gospodarstwo przyległe mojemu i dwoma niemi dzierżyłem. A Bóg pobłogosławił i mojej pracy, obfity dając plon ziemi mojej — i oto posiadam i zwrócić ci mogę dwa gospodarstwa za jedno — i dwa talenty srebra za jeden talent.

— Chodź, synu — zawołał król, a głos jego drżał z radości, że oto tak postąpił syn jego — chodź na tron, obejm miejsce po mnie już dziś, a spokojnie pójdę tam, gdzie ojcowie moi leżą, bo takiego pozostawiam monarchę poddanym moim!

I pocałował staruszek królewicza w czoło i powoli schodzić zaczął ze stopni...

———:o:———

Na grudniowej plaży w Miami.

Redaktor: Klemens Orchulski.

Odbito w drukarni „Kurjera Łódzkiego".

Łódź w ilustracji

DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO".

Rok IV. Łódź, dnia 18 grudnia 1927 roku. Nr. 51.

Imponujący rozwój sportu w Łodzi.

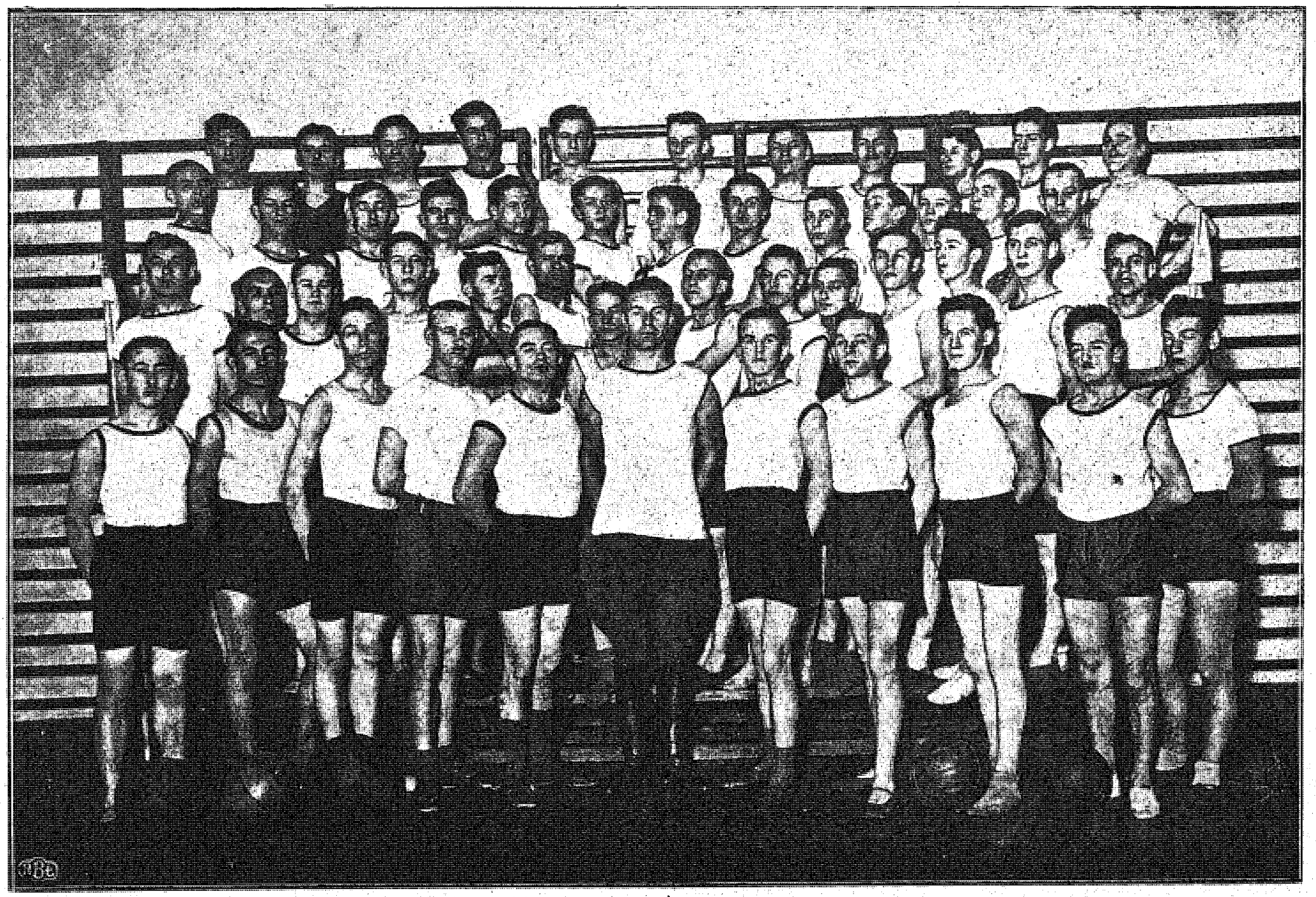

Sport w Łodzi, po za dziedziną wytężonej pracy intelektualnej i fizycznej, stanowi wdzięczne pole rozwoju tężyzny ducha i ciała, któremu poświęca chwile wolne od zajęć zarówno młodsza jak i starsza generacja. W tej pracy Łódź zdobyła już odpowiednie miejsce w świecie sportowym.

Na zdjęciu powyższem widzimy uczestników kursu instruktorskiego pierwszego stopnia przy Ośrodku Wychowania Fizycznego z por. Woskowiczem, kierownikiem kursu na czele, w sali gimnastycznej szkoły powszechnej przy ulicy Cegielnianej Nr. 58.

Fot. A. Meyer.